

# Zygmunt Zieliński

---

"Dziennik. T. I-IV : wydanie (...) Dziennika wraz z zapisami dziennymi Ochronka Podrzecka 1851-1854 i relacją s. Elżbiety Szkudłapskiej ", Edmund Bojanowski, objaśnił i wstępem poprzedził Leonard Smółka, Wrocław 2009 : [recenzja]

---

Saeculum Christianum : pismo historyczno-społeczne 16/2, 271-276

---

2009

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Edmund Bojanowski, *Dziennik*. T. 1-4 Wydanie kompletne rękopisu i luźnych kartek Dziennika wraz z zapisami dziennymi Ochronka Podrzecka 1851-1854 i relacją s. Elżbiety Szkułdapskiej Ostatnie dni życia i pogrzeb. Objąsnił, skomentował i wstępem poprzedził Leonard Smółka. Wrocław 2009.

We fragmentach ukazywał się *Dziennik* Edmunda Bojanowskiego trzykrotnie. Są to dwie edycje polskie (1988, 1999) i jedna włoska (1996) Dziś jest na czasie, i to z kilku powodów, żeby przypominać tę postać, znaną w Wielkopolsce XIX wieku z pracy organicznej, *sui generis* – powiedziałby może ktoś ciasno rozumiejący pod tym pojęciem wiodące w życiu społecznym, gospodarczym i kulturalnym inicjatywy. Ale i tych w życiu Bojanowskiego nie brakowało. Wiekowe zaniedbania, jakie dotyczyły najliczniejszą warstwę narodu wołały teraz o zdwojony wysiłek zmierzający do ich naprawy. O narodzie można już w tym czasie mówić. Wszak wszyscy obywatele, w tym przypadku państwa pruskiego, posiadali podmiotowość prawną. Korzystanie z tego, jak niektórzy wówczas sądzili, przywileju miało jednak ograniczony zasięg i zależało w praktyce od jednej ważnej okoliczności. Syn chłopski, by móc zaistnieć na arenie życia publicznego, obojętnie w jakim charakterze, działacza gospodarczego, polityka, czy też w obrębie kultury, musiał odbić się niejako od środowiska, z którego wyszedł, a mógł to uczynić tylko, zdobywając wykształcenie. Był to awans z punktu widzenia osobistego godny uwagi, zaś pod kątem pożytku społecznego tak ważnego dla przetrwania i zwartości społeczeństwa polskiego pod zaborem, jeśli nie szkodliwy, to w każdym razie jałowy w skutkach. Tylko powrót do własnej społeczności z wyposażeniem wiedzy i autorytetu z niej płynącego można było uznać za sukces takiej pracy organicznej. W tym kierunku szło też działanie takich ludzi, jak Bojanowski, Marcinkowski i spora garść innych.

Edmund Bojanowski rozumiał to wszakże, jak mało kto w kraju poddanym presji germanizacyjnej, sprawiającej w innych dzielnicach Prus z ludnością polską, że wyjście ze środowiska i pruska szkoła, od ludowej po uniwersytet, zubożały tamtejszą społeczność polską o potencjalnie wartościowe i jakże potrzebne jednostki. Tak było nierzadko na Śląsku, częściej na Warmii i Mazurach, sporadycznie w tzw. Prusach Zachodnich. Po prostu nie zwracano tam należytej uwagi na konieczność troski o tożsamość, nie tylko religijną, ale także narodową w najniższych warstwach. Nieliczni działacze polscy i garstka duchownych, których seminaria duchowne nie wynarodowiły, nie potrafili przebić się przez bogatą w środki niemiecką *Kulturarbeit*

Wielkopolska stanowiła pod tym względem rezerwuar sił polskich, służący w miarę możliwości także tamtym, wyżej wspomnianym, obrzeżom Prus zaludnionym

Polakami. Nic też dziwnego, że o ile w Poznaniu działało od 1841 r. założone przez Karola Marcinkowskiego Towarzystwo Naukowej Pomocy, którego celem było wspieranie kształcenia zdolnej a ubogiej młodzieży, to o 6 lat wcześniej w Gostyniu powstało – tym razem z inicjatywy ziemianina Gustawa Potworowskiego – Kasyno Gostyńskie. Zadaniem jego było wspieranie inicjatyw gospodarczych i kulturalnych w skali całego Wielkiego Księstwa Poznańskiego, a zwłaszcza podnoszenie poziomu gospodarstw chłopskich oraz unowocześnianie wielkiej własności ziemskiej, broniąc ją tym samym przed wykupem przez silniejsze ekonomicznie środowisko niemieckie. W ramach kasyna, istniejącego do 1846 r. działał też Edmund Bojanowski, sekretarzując w Wydziale Literackim Kasyna. To on właśnie – nie bacząc na górnołotną nazwę Wydziału – ukierunkował jego działalność na „rozpowszechnianie wśród ludu pism elementarnych”<sup>1</sup>. Z kolei Wydział Dobroczynny Kasyna w ramach, którego powstała „kasa opieki” dla uczniów i studentów wyprzedził TNP, z którym w 1941 r., po jego powstaniu wspomniana kasa się złączyła. Bojanowski był duszą tych inicjatyw, a jego ludowość przejawiała się nie tylko w akcjach charytatywno-wychowawczych, ale także w zainteresowaniach archeologicznych podejmowanych wraz z innymi w celu przywoływania historii ziemi wielkopolskiej dokumentujących jej polskość<sup>2</sup>. Na uniwersytecie berlińskim studiował przez 3 lata psychologię, estetykę, historię sztuki, metafizykę, logikę, historię muzyki oraz poezję, zwłaszcza twórczość Goethego i Schillera. Wykształcenie takie było udziałem wielu ziemian, którzy niejednokrotnie uzupełniali je o studia lub doświadczenie agronomiczne. W każdym zaś razie dawało ono wstęp do dobrego towarzystwa, rzadziej inspirowało do pracy twórczej. Bojanowski myślał innymi kategoriami. Skromne środki utrzymania pozwalały mu na pewną niezależność materialną, może nawet na sfinalizowanie studiów. W 1869 r., po utracie rodzinnego Grabonoga, gdzie do tego czasu mieszkał poszedł za głosem powołania. Pobyt w seminarium gnieźnieńskim skończył się jednak po dwóch latach. Choroba płuc była w tamtych latach nieubłagalna. Edmund Bojanowski miał oparcie w wielu kapłanach, ale wydaje się, że bliska z nimi znajomość uświadamiała mu, iż związanie posłuszeństwem kapłańskim nie pozwoliłoby mu na realizację myśli, które rodziły się już w Kasynie Gostyńskim, dojrzały później pod wpływem dziełka Augusta Cieszkowskiego, swego rówieśnika (urodzony, podobnie jak Bojanowski w 1814 r.) pt. *O ochronkach wiejskich*<sup>3</sup>.

<sup>1</sup> R. C z u b, *W 160 rocznicę rozwiązania Kasyna Gostyńskiego przez Prusaków. Pionierzy pracy organicznej*. „Nowa Gazeta Gostyńska”. R. 2006, nr 7, s. 10A

<sup>2</sup> T a m ż e.

<sup>3</sup> Książka ukazała się w Lwowie w 1845 r. w czasie szczytowych działań Bojanowskiego w Kasynie Gostyńskim, gdzie problem wychowania, zwłaszcza dzieci wiejskich, niejednokrotnie mimo istnienia obowiązku szkolnego, minimalnie lub w ogóle ze szkoły nie korzystających, był nie tylko rozważany, ale gdzie podejmowano konkretne akcje na rzecz przybliżenia wsi wartościowej lektury polskiej i jej utwierdzenia w przywiązaniu do tradycji polskich. Cieszkowski, znany przede wszystkim jako wybitny filozof, był jednak także aktywistą społecznym. Potrafił też nadać idei powszechnej oświaty ludowej poczynając od najmłodszych, strukturę teoretyczną.

Idea ochroniarska, jeśli można tak nazwać inicjatywy Bojanowskiego, wypływała z myśli organicznikowskiej sięgającej do samych korzeni budowanego ładu społecznego i gospodarczego. Edmund Bojanowski w niczym nie odróżniał się od ówczesnych działaczy społecznych Wielkopolski, a także innych dzielnic podzielonej Polski. Praca „nad ludem”, jak to wówczas nazywano, obok nieuniknionego w tej epoce paternalizmu, charakteryzowała się także animowaniem w tym ludzie inicjatyw – może często podpowiadanych – ale realizowanych wspólnymi siłami ludu i warstw oświeconych. Bojanowski w całej rozciągłości taką metodę stosował, unikając tego rodzaju dobroczynności, jaka cechowała ówczesną filantropię, z pewnością wiele czyniącą dobrego, ale nie podejmującą wysiłku uczenia sztuki przetrwania własnymi siłami. Nie znaczy to, że przechodził obojętnie obok nędzy, której wtedy pełno było wszędzie, ale bardziej wolał wskazywać środki wiodące ku jej wyeliminowaniu, aniżeli własnym sumptem ją eliminować, czego zresztą nie byłby w stanie urzeczywistnić. Był realistą, a realizm ten po części wynikał ze szczupłości środków, jakimi dysponował. Nie był również człowiekiem, któremu łatwo przychodziło pukanie do czyichś drzwi lub sięganie do czyjejs kieszeni. Natomiast już w swej działalności w Kasynie Gostyńskim, jak i później, kiedy po jego zlikwidowaniu zajęli się ochronkami według własnego pomysłu, szukał środków właśnie tam, gdzie chciał je zainwestować. Ochronki w znacznym stopniu były dziełem społecznym, zatem partycypowały w nich także osoby korzystające z nich. Już system szkolny nauczył rodziców, iż szkoła, to także ich dzieło, a korzyść płynąca z niej ich przede wszystkim jest udziałem. Przekonanie o tym chłopca w XIX wieku nie było sprawą prostą. U Bojanowskiego występuje jeszcze jeden ważny, tym razem o wiele łatwiejszy do pojęcia, element. Jest nim powiązanie jego inicjatywy z katolicyzmem i Kościołem, szukanie zaplecza w szeregach duchowieństwa, gdzie miał oddanych i szczerych przyjaciół. Ważne jednak było stosowanie jedynego kryterium przy wyznaczaniu zadań społecznych. Była nim potrzeba tych, którym ofiarował pomoc. Dlatego też szukał oparcia w osobach i instytucjach działających z pobudek religijnych. Sprowadzenie szarytek do ochronki gostyńskiej nie rozwiązywało jednak problemu, skoro miał to być ruch ochroniarski, a nie jedna lokalna fundacja. Bojanowski dostrzegał też to, co w nowoczesnej pedagogice jest oczywistością: pełne oddanie się dziecku możliwe było tylko wtedy, kiedy opiekunka sama była wolna od zobowiązań, ale zarazem wczuwająca się w potrzeby wychowanków. Stąd odpowiednio przygotowane kobiety „z ludu” były rozwiązaniem bliskim ideału. Jednocześnie, jeśli miał to być ruch oświatowy, trzeba było pomyśleć o jego zabezpieczeniu w postaci stabilnej organizacji – taką w oczach Bojanowskiego było tylko zgromadzenie zakonne.

Abstrahujemy tutaj od samego procesu tworzenia zgromadzenia, choć w *Dzienniku* przewija się on bardzo spójną i silną nicią. Pozostając w kręgu zainteresowania osobą

---

Idea ta szła niejako w dwóch kierunkach. Jeden, to pomoc rodzinie w opiece nad dzieckiem przedszkolnym, a drugi, to stworzenie środowiska pedagogicznego, w którym dziecko to zdobywałoby właściwe dla swego wieku i stanu wychowanie, religijne i narodowe.

autora *Dziennika*, uderza przed wszystkim wielostronność jego zainteresowań i umiejętności. Wpatrując się w jego portret na okładce *Dziennika* odnosi się wrażenie, iż spogląda na nas człowieka wielkiej łagodności, ale zarazem daleki od szarej codzienności. Zupełnie inna jest wymowa jego zapisków. Wyłania się z nich skrzętny administrator, doskonale orientujący się w cenie gwoździ i desek, organizujący zbieranie ziół, a przy tym tłumaczący wykonującym tę pracę, jaki z niej pożytek. Podobnie jest w innych przypadkach, kiedy wyjaśnia cierpliwie jakąś, zdawać by się mogło, oczywistą sytuację czy czynność, kiedy zastanawia się nad każdą najbanalniejszą decyzją, jeśli dotyczy ona drugiego człowieka. Ani myśli jednak zrezygnować z pracy dzieci przebywających w ochronkach, dbając jedynie o to, by nie obciążać ich ponad siły. Praca bowiem, pomijając już płynące z niej korzyści, jest według niego środkiem wychowawczym, bardziej przemawiającym do świadomości dziecięcej niż nadopiekuńczość Metody wychowawcze, jakim hołdował Bojanowski dochodzą do głosu na kartkach jego zapisków. Odnosi je nie tylko do dziatwy w ochronkach, ale także do jej wychowawczyń. Jego decyzje w tej mierze, nie zawsze przyjmowane bez oporu, opatrzone są zawsze perswazją zmierzającą do przekonania kogoś o ich konieczności. To, gdy chodzi o codzienność. Ale Edmund Bojanowski jest także mistrzem duchowości swoich współpracownic i stanie się także autorem i interpretatorem charyzmatu zgromadzenia, które z jego inicjatywy powstawało. Obok wielu paradoksów w jego życiu, jest i ten, że człowiek świecki podjął się takiego zadania. Ideał zakonny przez niego urzeczywistniany wyrastał z bieżących potrzeb. Uformowanie zespołu kobiet podejmujących tak odpowiedzialną pracę, jaką jest troska o dziecko musiało iść w parze z własną formacją duchową Bojanowskiego, co sprawiało, że stawał się równoległe, wraz z powstającym zgromadzeniem, jego moderatorem bez święceń kapłańskich i ślubów zakonnych, natomiast w w pełni ukształtowanym etosem oddania się bliźnim, co rekompensowało wszelkie braki formalno-kanoniczne zakonotwórcy. Przypadek rzadki w dziejach Kościoła, ale nie całkowicie odosobniony.

Na kartkach *Dziennika* wprost porażającego swą objętością, (4 tomy liczą w sumie 3225 stron) jawi się jednak także inny Bojanowski, ziemianin zubożały, jakich wielu było w tym czasie wszędzie, nie tylko w Wielkopolsce, gospodarz zorientowany w tych drobnych codziennych sprawach, którymi żył po to, by wypełnić swe życiowe posłannictwo. Edmund Bojanowski potrafił bowiem łączyć w harmonijną całość swe oddanie Bogu ze służbą dla bliźnich. Tak, jak codzienna Msza św., ewentualnie jej opuszczenie z racji niezależnych od niego, czy spowiedź i przyjmowanie komunii św. – choć to przecież czynności wchodzące w program każdego dnia – znajdują odnotowanie w *Dzienniku*, tak również trafia tam też wzmianka o chorobie którejś ze siostr lub wychowanka, a wreszcie wcale nie na pierwszym miejscu odnotowano korespondencję z którymś z biskupów, albo trudności doświadczane przez siostry działające w Galicji. Ze zwiezłych notatek – a z takich składa się cały *Dziennik* – można się domyślać istnienia trudności zagrażających egzystencji takiej czy innej placówki, zwłaszcza w Galicji, gdzie rutyniarska małoduszność miejscowych władz wisia-

ła nad ochronkami jak miecz Damoklesa, a stałe odwoływanie się od niekorzystnych decyzji niepotrzebnie angażowało siostry, skądinąd zmuszone do pracy najmniej na roli, żeby utrzymać ochronki. Nawet przypadki nieprzychylności „księży ruskich” wobec działalności sióstr posądżanych o prozelityzm łaćiński nie wywołały komentarza Bojanowskiego, poza stwierdzeniem, iż siostry takich sytuacji skrzętnie unikają. Autentyczna miłość chrześcijańska wyziera z suchych relacji wydarzeń. W lipcu 1863 r. w czasie walk powstańczych w Królestwie Polskim siostry znalazły się na terenie przygranicznym, w Słupcy i okolicy, gdzie m.in. opatrywały rannych, a przez Moskali, z wyjątkiem jednego incydentu, traktowane były dobrze (t. III, s. 346). Nawet te, niewątpliwie dramatyczne chwile znalazły w *Dzienniku* odbicie jedynie o tyle różne od innych, że nieco obszerniejsze.

Czytając powierzchownie *Dziennik*, można odnieść wrażenie, że troski dania powszedniego biorą w nim pierwsze miejsce. Jest to prawda, ale pod warunkiem, że dostrzega się globalnie sens życia zarówno autora, jak i dzieł przezeń animowanych. Zapisy dotyczą bowiem wyłącznie dzieła tworzonego przez Bojanowskiego. Nie jest więc ważne, że opis nabożeństwa sąsiaduje ze skrupulatnym wyliczeniem ile korcy żyta, jęczmienia i innych płodów rolnych otrzymała ochronka w darze (t. II, s. 273). Takich słupków podliczających wydatki i przychody jest więcej, bowiem u Bojanowskiego wszystko, co służyło budowaniu dobra, zarówno wartości duchowa, jak i chleb powszedni, stanowiło jedno.

Ten praktycyzm i docenianie znaczenia rzeczy doczesnych, o ile były one w służbie dzieła Bożego, ma jednak w *Dzienniku* także inny wydźwięk, zgoła odbiegający od snutej tu myśli przewodniej. Recenzowane tu dzieło niezwykle starannie, wręcz z pietyzmem wydane przez Leonarda Smołkę, jest w pełnym tego słowa znaczeniu dokumentem epoki. Odczytać z niego można nie tylko ówczesne liczne powiązania między ludźmi, przy czym aparat krytyczny stwarza pewien kontekst społeczny pozwalający czytelnikowi na konstruowanie obrazu, jeśli nie całego społeczeństwa polskiego Wielkopolski dziewiętnastowiecznej, to przynajmniej pewnych jego środowisk i to bynajmniej nie wyłącznie ziemiańskich. *Dziennik* niezwykle trafnie portretuje wielu kapłanów, o których inne źródła wzmiankują zaledwie incydentalnie. Zupełnie inaczej niż w aktach urzędowych, a nawet biografiach, jawią się osoby urzędowe, od najwyżej w hierarchii regionalnej stojących do tych z dolnych półek władzy. Edmund Bojanowski przez całe życie, a szczególnie dokąd począł działać w Kasynie Gostyńskim, zaabsorbowany był sprawami gospodarczymi. Nie była to ekonomika w wymiarze makro, ale gospodarowanie małymi zasobami zapewniającymi byt powoływanych do życia dzieł. Ktoś zainteresowany obrotem pieniężnym i towarowym, kosztami utrzymania, ceną inwestycji w owym czasie może szukać w *Dzienniku* materiału, którego na próżno szukałby gdzie indziej. Jeszcze więcej informacji znajdujemy tam na temat kosztów, a nawet w dużej mierze procesu budowy, remontów i prac rzemieślniczych. Znajomość tych spraw, łącznie ze sporządzeniem kosztorysu, zdumiewa u człowieka, który życie wewnętrzne uczynił światem, w jakim realizował sam siebie,

a w doczesności dostrzegał tylko potrzebę miłości bliźniego, jako drogi dotarcia do Boga. Rzecz jednak w tym, że była to droga wiodąca poprzez świat, taki, jakim wówczas on był. Nie ten, jakim chciałby go widzieć romantyk i zarazem Święty. On chciał właśnie ten świat naprawiać, używając narzędzi w dalej chwili potrzebnych, niekiedy zaprawy murarskiej, kielni i młotka. Nic nie było mu obce.

Wspomniano tu, choć nader pobieżnie, o wkładzie Wydawcy w czytelność dzieła. Leonard Smółka opatrzył *Dziennik* najniezbędniejszym, a mimo to pokaznym aparatem naukowym, bez którego lektura dzieła byłaby w wielu przypadkach niezrozumiała lub nie oddawałaby w pełni opisywanej rzeczywistości. Szczególnie bogate są noty biograficzne. W przypadku wielu postaci, zwłaszcza księży, wymagało to sięgania do archiwum. Nie będzie przesady w twierdzeniu, iż tekst *Dziennika* należy czytać równoległe z odnośnikami. Wydawca stara się z powodzeniem objaśniać dzisiaj już nie używane słowa gwary wielkopolskiej. Niektóre z nich, pochodzenia niemieckiego, używane zwłaszcza przez rzemieślników trudne są do jednoznacznego wyjaśnienia. Np. słowo bandejza (t. I, s. 310) może faktycznie oznaczać taśmę metalową, jak jest w przypisie, albo po prostu obręcz. Z kolei baukejza – to raczej kłamry metalowe do muru (tamże, s. 242). Wydawca w niektórych przypadkach kapituluje wobec bogactwa spolszczonych nazw narzędzi i materiału rzemieślniczego, czemu trudno się dziwić, bowiem wymagałoby to specjalnych studiów językowych.

Zrecenzowanie tak olbrzymiego dzieła, przy tym nasyconego tak przebogatą faktografią jest praktycznie niemożliwe. Wiele wątków w nim zawartych wymagałoby rozwinięcia, bowiem oczywiste jest, iż w zwięzłych notatkach, niekiedy sygnalizujących tylko zaszłości codzienne, zawarty jest ogromny ładunek wiedzy o życiu tamtych czasów, a więc także o ludziach. To jest właśnie najcenniejsze i recenzent powinien wydobyć i, jak gdyby, zesumować tę porcję wiedzy zawartą w dziele. Jej różnorodność jednak na to nie pozwala, dlatego recenzja może być tylko zwróceniem uwagi na te momenty, które w czasie lektury – dodać należy – selektywnej szczególnie wywarły wrażenie. Być może jednak nawet tak pobieżne spojrzenie na tę część spuścizny Edmunda Bojanowskiego, którą udostępnił czytelnikowi Leonard Smółka staraniem Zgromadzenia Sióstr Służebniczek Najświętszej Maryi Panny zachęci do sięgnięcia po tę lekturę. Niecodzienny to fakt, że Święty wyrósł z gleby pracy organicznej, pożytecznej, ale przecież na wskroś doczesnej inicjatywy.

Ks. Zygmunt Zieliński

Arno Herzig, Małgorzata Ruchniiewicz, *Dzieje ziemi kłodzkiej*. Tłum. V. Grotowicz. Hamburg-Wrocław 2006, ss.568; Hamburg-Wrocław 2008 wydanie 2, ss. 670.